



Mirosław Derecki

Z ZOFIĄ TERESĄ PO DWUDZIESTU LATACH...

- Dzień dobry, poznaje mnie pani?

- Ninno, nie bardzo...

- Pewnie. Ostatni raz widzieliśmy się równo dwadzieścia lat temu. W domu pani rodziców, przy ul. Kunickiego. Była pani wówczas dwudziestoletnią dziewczynką, studentką drugiego roku chemii na UMCS, a ja...

- Wiem, już! Pan jest tym młodym dziennikarzem z „Kamenu”, który poszukiwał osób urodzonych w dniu zakończenia wojny, 9 maja 1945 r.! I między innymi odnalazł pan także mnie. Ale... trochę się pan zmienił od tamtego czasu.

- Bo ja, proszę pani, jestem już, niestety, byłym „młodym dziennikarzem”. Chociaż w „Kamenu” pracuję nadal.

- No tak, a ja mam dwójkę dorastających dzieci, Dorota kończy właśnie szesnaście lat, jest w I klasie liceum u „Zamoyskiego”, a Marcin, jedenastoletni, chodzi do czwartej, klasy podstawówki. Ale jak pan mnie po dwudziestu latach tutaj, na ul. Romera, w Osiedlu Nałkowskich, odnalazł? Przecież tamten stary dom przy Kunickiego dawno już nie istnieje, a ja noszę inne nazwisko niż dawne, panięskie.

- O, to tajemnica zawodowa. Zresztą powiem pani: po prostu za pośrednictwem biura adresowego. Teraz poszło o wiele łatwiej, niż przed dwudziestu laty. Wtedy szukałem zupełnie „w ciemno”. Nie miałem ani żadnych nazwisk. Ani nawet pewności, czy w ogóle 9 maja 1945 r. urodziło się w Lublinie jakieś dziecko. Okazało się, że urodziło się pięcioro: Ewa Cisłowska - córka urzędnika, Grzegorz Sadowski - syn brukarza z lubelskiego przedmieścia, Danuta Trejgiell - córka właściciela piekarni, Józefa Chorembała - córka walczącego na froncie, nad Nysą, malarza pokojowego z dzielnicy Kalinowszczyzna, Józefa Chorembały. No i Zofia Teresa Konofalska, córka Blandyny i Teodora, właścicieli sklepu nabiałowego przy ul. Kunickiego 68, czyli właśnie pani... Z tej całej piątki udało mi się wówczas, w 1965 r., dotrzeć tylko do dwóch, dwudziestoletnich już dziewcząt: Józefy Chorembały oraz pani - studentki chemii, marzącej o wyjeździe, po skończeniu studiów, z Lublina, „gdzieś na prowincję”. „Może być do Puław - zwierzała mi się pani wtedy. - Ale tam niełatwo się dostać chemikom po studiach uniwersyteckich. Potrzebują raczej inżynierów

chemików. Chociaż podobno puławskie „Azoty” mają objąć patronat nad Wydziałem Chemii UMCS, może w związku z tym po zrobieniu odpowiedniej specjalizacji łatwiej będzie o pracę. Ale właściwie najlepiej byłoby pracować w szkolnictwie. Jako nauczycielka chemii. A mąż mógłby w produkcji...”

„Mąż?” - spytałem trochę zdziwiony.

„No, w przyszłości. Ewentualny” - Wyjaśniła pani, śmiejąc się...

I co, została pani nauczycielką chemii?

- Ach, nie, nie...! Z tamtych dawnych, młodzieńczych planów, „doszedł do skutku” jedynie: mąż - chemik, czyli Stanisław Matyka, specjalista „żywieniowiec”. Był moim starszym kolegą ze studiów; w dwa lata po tamtej rozmowie pobraliśmy się ze Staszkiem. Mąż zrobił doktorat na Akademii Rolniczej, a ostatnio habilitował się. Pracuje w Centralnym Laboratorium Przemysłu Paszowego przy ul. Chmielnej. O, tutaj jest jego książka, wydana w 1981 r.: „Użyteczność pastewna niektórych zjełczałych tłuszczów zwierzęcych dla kurcząt brojlerów”...

- A co pani robi?

- Pracuję od lat w budownictwie. Jestem kierownikiem laboratorium materiałowego w Biurze Projektowo-Badawczym Budownictwa Ogólnego „Miastoprojekt”. Nasze laboratorium mieści się przy ul. Bohaterów ORMO, pracuje w nim szesnaście osób. Tak więc osiedliliśmy się, oboje z mężem, na dobre w Lublinie...

Wie pan, jestem zadowolona, że zostałam w Lublinie. Puławy były kiedyś wielką atrakcją dla mojego pokolenia, ale w praktyce okazało się, że aż nie tak wielką. Niektórzy koledzy ze studiów, jacy tam podjęli pracę, zaczęli po latach wracać do Lublina. I zarobki nie były takie bajeczne, jak się spodziewali i powietrze Puław zaczęło coraz bardziej odbijać się na ich zdrowiu.

- A państwo mieszkacie w bloku, którego okna wychodzą na Bystrzycę i przyległą do niej zieleni, niedaleko jest do Zalewu Zemborzyckiego; teraz, kiedy rozmawiamy, nad rysującym się w oddali Starym Lasem zachodzi pięknie słońce...

- Tak, ale w tej dzielnicy mieszkamy dopiero od siedmiu lat. A w ogóle to cała historia z tymi naszymi mieszkaniami... Wkrótce po tym, jak pan nas w 1965 r. odwiedził, przenieśliśmy się na Tatary, gdzie dostaliśmy małe dwupokojowe mieszkanie. Ten dom przy Kunickiego został przeznaczony do rozbiórki. Jak wtedy rozmawialiśmy, to mój ojciec był już poważnie chory, na raka, i w rok później zmarł. Na Tatarach mieszkaliśmy z „babcią” i z moim mężem i tam się też urodziła Dorota... W 1969 r., wkrótce po urodzeniu Doroty, spotkała nas następna wielka radość: otrzymaliśmy pierwsze, samodzielne mieszkanie, M-3, w Spółdzielni Kolejarskiej na Kalinowszczyźnie. Tam, na ul. Okrzei, przemieszkaliśmy siedem lat, i tam, w 1974 r., w maju - bo my wszyscy jesteśmy „majowi”: i ja, i moja córka, i syn -

urodził się Marcin. Nie było to wygodne mieszkanie, ciasne, jakiś dziwny rozkład: z głównego pokoju wchodziło się do kuchni.

- A teraz?

- Teraz, jak pan widzi: sześćdziesiąt metrów kwadratowych, cztery pokoje, kuchnia z normalnym wejściem - z przedpokoju, pierwsze piętro.

- A co się dzieje z pani matką? Żyje jeszcze? Bo pamiętam, że kiedy się Pani urodziła, rodzice byli już niemłodzi. I jeszcze: przypominam sobie taki moment, jak pani matka opowiadała, że urodziła się pani trochę „na rozkaz”: przed południem 9 maja była w sklepie, jak zwykle, i o jedenastej wszedł do sklepu milicjant, oznajmił, że właśnie wojna się skończyła, więc jest święto i sklep należy zamknąć. I pani matka poczuła wtedy bóle i... w dwie godziny później pani już była na świecie.

- Zapamiętał to pan? No proszę...! Tak, mama żyje, mieszka nadal na Tatarach. Jest już staruszką, dużo ostatnio chorowała. Na serce. Ale trzyma się dobrze.

- Pani Zosiu, wracając do czasów dzisiejszych: na czym polega działalność laboratorium, którym pani kieruje; co takiego robi chemik w budownictwie?

- No, nie pracują w tym laboratorium sami tylko chemicy! Mamy pracownię chemiczną, ale także pracownię wytrzymałościową, pracownię spoiw i ceramiki oraz pracownię gruntów. Ogólnie rzecz biorąc, nasze laboratorium to placówka, która zajmuje się badaniami przydatności różnych materiałów wykorzystywanych w budownictwie. Ustalamy, na przykład, receptury na różne klasy betonów, przeprowadzamy badania cegły budowlanej, rurki drenarskich, prowadzimy badania sklerometryczne, to znaczy wytrzymałościowe, elementów budowlanych. Zajmujemy się również badaniem i ustalaniem fizyko-mechanicznych właściwości gruntów. Głównymi naszymi kontrahentami są „Geoprojekt” i Biuro Projektowe PKP. Jest to, nawiasem mówiąc, jedyne w mieście, i chyba w regionie, tego rodzaju laboratorium, które prowadzi działalność nie tylko dla potrzeb własnego przedsiębiorstwa, ale także świadczy usługi „na zewnątrz”, również dla osób i przedsiębiorstw prywatnych.

- Te znaczy...?

- Na przykład: jeżeli ktoś chce otworzyć wytwórnię cegieł lub wytwórnię pustaków, prowadzimy badania gliny mającej służyć do wyrobu cegieł, badania żużlu na pustaki, a później badamy także gotowy już produkt opuszczający taką wytwórnię: czy nadaje się on do eksploatacji. I jeszcze jedna dziedzina pracy: ekspertyzy mikologiczne. Po studiach chemicznych zrobiłam na specjalnych studiach podyplomowych w Instytucie Techniki Budowlanej w Warszawie specjalizację mykologiczną: wszelkiego rodzaju grzyby i pleśnie atakujące materiały budowlane i gotowe już budynki, oraz ich zwalczanie...

- ...kiedy grzyb „rzuci się” na ściany?

- Właśnie kilka dni temu wyjeżdżałam na ekspertyzę do Hrubieszowa: oglądałam zagrzybione, jeszcze przedwojenne, kamieniczki. W strasznych warunkach ludzie mieszkają! Ściany, w tych domach są z cegły, stropy - drewniane, ale grzyb przeżera i kamień i drewno. Drewno w stropach zostało starte przez grzyb na proszek. Odgrzybianie, a potem remont pochłoną ogromne sumy...

- A z jakimi problemami przychodzą do was lubelscy użytkownicy budynków?

- Na przykład jest problem lenteksu, wykładziny podłogowej, w osiedlu spółdzielczym na Czechowie. W wielu budynkach lenteks gnije od spodu. To znaczy gnije jego spodnia, wołokowa warstwa. Zaczęto więc zrywać lenteks i kłaść na jego miejsce klapkę lub „mozaikę” drewnianą. Wtedy znowu podłogi zaczęły „puchnąć”. Powalał problem, który przedstawiono nam do rozwiązania: czy kleje podłogowe tam używane są niedobre, czy sama klepka, czy też - cementowe podłoże podłogowe - za mokre? Otóż najczęściej mamy tutaj „winę” podłoża: płyta betonowa, na której układa się, „na klei”, podłogę ze sztucznego tworzywa bądź drewnianą, może posiadać tylko 3 proc. zawilgocenia. Często nawet jeszcze po miesiącu od jej zamontowania płyta taka jest za mokra. A mimo to ekipy budowlane przystępują do układania podłóg. Nawiasem mówiąc, problem gnicia lenteksu, mimo nasycania wołoku specjalnymi preparatami mającymi czynić go odpornym na bakterie gnilne, ma zasięg krajowy. Właściwie już teraz, po smutnych doświadczeniach (wyobraża sobie pan, jakie sumy pochłania zrywanie starych i układanie nowych podłóg?!), zaprzestano układania lenteksu w nowo wznoszonych budynkach mieszkalnych.

- A w pani mieszkania jakie są podłogi?

- Z lenteksu, niestety. Ale na szczęście, u nas jakoś nie ma z nim kłopotów... Zresztą nie rozmawiajmy tylko o pracy i problemach zawodowych: spełnijmy lepiej toast za to nieoczekiwane dla mnie spotkanie po latach dwudziestu. I niech teraz pan opowie o sobie. Co pan robił przez tych dwadzieścia minionych lat!

- Ba, o sobie dziennikarzowi opowiadać najtrudniej. Pisałem, założyłem rodzinę, trochę jeździłem po świecie, trochę poznałem ludzi, wydałem kilka książek...

- Aaa, ten pan, fotoreporter, który robił mi wtedy zdjęcie do pańskiego reportażu, na tle nowo wybudowanej „Chatki Żaka” w Miasteczku Studenckim...?

- Andrzej Polakowski? Jest inżynierem, pracuje w budownictwie. No i dalej robi zdjęcia. Zrobi teraz i pani.

A „Chatka Żaka” stoi jak stała. Tylko w tym miejscu, gdzie pani pozowała do zdjęcia, drzewa wyrosły. Takie wielkie wierzby, które sięgają już ponad dach budynku!